

Fredrik Gustavsson nigdy nie sądził, że mógłby się zakochać. Był przekonany, że żadna kobieta nie zaakceptuje jego okrutnej natury. Aż pewnego dnia poznał Seraphinę – kobietę tak samo brutalną i spragnioną krwi jak on. Spędzili razem dwa krótkie, ale niezapomniane lata, przepełnione pożądaniem, śmiercią i najmroczniejszą formą miłości.

A potem Seraphina zniknęła.

Minęło sześć lat, odkąd sadystyczna kochanka Fredrika przewróciła jego świat do góry nogami. Seraphina wciąż się ukrywa, ale Fredrik w końcu wpada na jej trop. Okazuje się, że kluczem do jej odzyskania jest urocza, niewinna kobieta o imieniu Cassia. Niestety, po pożarze, który wznieciła Seraphina, Cassia cierpi na amnezję i nie może udzielić Fredrikowi odpowiedzi na dręczące go pytania. Nie mając innego wyjścia, Fredrik zamyka ją w swojej piwnicy; nie tylko po to, by odświeżyć jej pamięć, ale także, by ochronić ją przed swoją byłą ukochaną, która pragnie jej śmierci.

Cassia jest światłem w ciemności, którego Fredrik nigdy nie spodziewał się ujrzeć. Jej życzliwość, empatia i dobre serce sprawiają, że mężczyzna zaczyna kwestionować swoją miłość do Seraphiny i odkrywać rodzące się uczucie do Cassii. Przez cały czas ma jednak świadomość, że aby naprawdę pokochać jedną z nich, musi zabić drugą.

Jaką decyzję podejmie Fredrik? Wybierze światło czy ciemność? A może coś jeszcze potężniejszego zniszczy jego udręczoną duszę?

Tytuł oryginału
The Swan & The Jackal
Copyright © 2014 by J.A. Redmerski
All rights reserved
Wydawnictwo NieZwykłe
Oświęcim 2019
Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:
Angelika Oleszczuk
Korekta:
Barbara Marszałek
Redakcja techniczna:
Mateusz Bartel
Przygotowanie okładki:
Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Dystrybucja: ATENEUM www.ateneum.net.pl

Numer ISBN: 978-83-7889-863-4

J.A. REDMERSKI

ŁABEDŹ I SZAKAŁ

TŁUMACZENIE:
DOROTA LACHOWICZ

OŚWIĘCIM 2019



PROLOG

Sześć lat wcześniej...

Na meblach jest krew. Na ścianie jest krew. Nawet w ciemności panującej w pokoju, widzę ten piękny, karmazynowy kolor, który kontrastuje z białymi, gipsowymi płytami. Na podłodze leży ciało półnagiej kobiety, a wokół niego wielka kałuża krwi. Nie strzelano do niej; została zadźgana nożem. Domyślam się, co to za nóż... Ma zakrzywione ostrze i słowa „Posmakuj słodkich cierni moich warg” wyryte wzdłuż srebrzystej powierzchni. Takie cięcie to jej znak rozpoznawczy. Głęboka rana w dolnej części szyi, tam gdzie zaczyna się obojczyk. To dzieło Seraphiny, mojej żony. W powietrzu nadal czuję zapach jej perfum.

Śledzę Seraphinę już od kilku miesięcy; od dnia, w którym dopuściłem do świadomości, że mnie zdradziła... i wcale nie kocha. Tak wiele dla niej poświęciłem. Pomagałem jej oszukiwać naszego pracodawcę, Vonneguta, i cały nasz Zakon, bo nie mogłem pozwolić, żeby ją za to zabili. Chciałem pomóc jej się zmienić i odnaleźć właściwą drogę. W ten sposób sam stałem się zdrajcą Zakonu, a brak lojalności jest tam karany śmiercią. Byłem gotów zaryzykować. Miłość była dla mnie ważniejsza.

Miłość zawsze jest najważniejsza.

Teraz jednak na własnej skórze przekonałem się, że miłość jest też niebezpieczna i bardziej okrutna niż jakikolwiek człowiek. Po tym wszystkim, co razem przeszliśmy, Seraphina zrobiła ze mnie idiotę i wrzuciła nasz związek do kubła na śmieci.

Tej nocy ją odnajdę.

Tej nocy ją zabiję.

Kiedy przechodzę nad ciałem zamordowanej kobiety, nagle rzuca mi się w oczy mały, brązowy pieprzyk na jej podbrzuszu. Od razu go rozpoznaję. Pamiętam, jak podobał mi się kształt jej szczupłych ud i jakie miękkie były one w dotyku, kiedy pieprzyłem ją na oczach swojej żony. Seraphina uwielbiała obserwować mnie w takich sytuacjach. Ostry, zakazany seks był tym, co najmocniej nas do siebie przyciągało.

To już druga kobieta, którą znalazłem w ciągu ostatnich dwóch dni. Z poprzednią ofiarą Seraphiny również uprawialiśmy kiedyś seks. Mogłem się domyślić, jaki czeka je los, kiedy tylko moja żona stanie się zazdrosna... Ale tu nie chodzi tylko o zazdrość. Ona robi to, by odegrać się na mnie za to, że odkryłem jej tajemnicę i przestałem wierzyć w jej kłamstwa. Zabijając nasze byłe kochanki, przesyła mi wiadomość. *Chodź, znajdź mnie, nie chowam się przed tobą*, mówi. *Po prostu podoba mi się ta zabawa.*

Seraphina zawsze lubiła się bawić, a ja chętnie grałem z nią w te jej chore gry. Tym razem jednak wiem, jak to się skończy.

Tym razem muszę wygrać.

Kiedy wstaję z podłogi, za oknem zauważam migające światła samochodu i słyszę głośnie warczenie silnika. *Chodź, złap mnie*, zaprasza Seraphina. Biorę pistolet i spokojnie wychodzę na świeże powietrze. Celując bronią w jej auto, przechodzę przez ulicę. Przed domem na rogu jakiś pies szczeka głośno i z całej siły rzuca się na ogrodzenie. Zwierzęta wyczuwają zło.

– Co ty wyprawiasz, Seraphino? – Ton mojego głosu jest cichy, ale groźny. Trzymam palec na spuście, w każdej chwili gotowy go nacisnąć. – Takie zachowanie nie jest w twoim stylu.

Siedząca na miejscu kierowcy Seraphina posyła mi szeroki uśmiech. Jej długie, szczupłe palce spoczywają spokojnie na kierownicy, a błyszczące, kruczoczarne, sięgające kości policzkowych

włosy jak zawsze są idealnie ułożone. Nawet w takiej chwili nie odstaje żaden niesforny kosmyk.

Z oddali dobiega nas wycie policyjnych syren. Kiedy odwracam głowę, nagle słyszę pukanie. *Stuk, stuk, stuk, BUM!* Jestem pewien, że dochodzi z bagażnika. Patrzę na samochód, na Seraphinę, a potem na wschód, skąd dobiega dźwięk syren. Nie mogę się zdecydować, co w tej chwili jest najważniejsze.

– I co teraz zrobisz? – kpi ze mnie, uśmiechając się z wyższością. Wie, że chociaż celuję w jej głowę, to ona mnie pokonała.

Biorę głęboki oddech i ponownie oglądam się za siebie. Radiowozy będą tu lada chwila. Wycie syren jest coraz głośniejsze, choć wciąż nie widzę czerwonych i niebieskich świateł. Zostało mi niewiele czasu... sekunda, może dwie.

Gdy znów spoglądam na Seraphinę, mój oddech gwałtownie przyśpiesza.

– Powiem ci, co chcesz wiedzieć – obiecuje poważniejszym, mniej prowokującym tonem głosu. – Ale najpierw musisz mnie wysłuchać.

Zgrzytam zębami. Dziurki w moim nosie się rozszerzają, a dłonie boją, bo zaciskam je na broni tak mocno, jakbym chciał ją zmiażdżyć.

Mierzymy się lodowatym wzrokiem, kiedy nagle Seraphina wciska pedał gazu i odjeżdża z piskiem opon. Opuszczam broń ze złością i poczuciem porażki. Seraphina od początku wiedziała, że jej nie zabiję; a przynajmniej nie do momentu, kiedy dowiem się od niej tego, co chcę wiedzieć. Mam na tym punkcie obsesję. Gdybym zabił ją przed przesłuchaniem, już nigdy nie mógłbym spać spokojnie. Tylko Seraphina wie, że odkąd ją poznałem, zacząłem torturować i przesłuchiwać przestępców. Nawet Vonnegut nie ma o tym pojęcia. Ona to we mnie wyzwoliła, uznała moją najgorszą wadę za zaletę. Tak naprawdę bardzo mi pomogła... a teraz jest przekonana, że nie mogę jej zabić, choćby z samej wdzięczności.

I ma rację – nie mogę. Przynajmniej na razie.

Jestem pewien, że policja zaraz tu będzie, więc wsuwam pistolet za pasek spodni i ruszam chodnikiem w stronę swojego samochodu zaparkowanego cztery ulice dalej. Oddalam się od domu martwej kobiety, a następnie ukrywam w cieniu wysokich drzew. Po drodze mijam rozpędzony radiowóz, który jedzie w przeciwnym kierunku.

Seraphina chce ze mną porozmawiać. To ciekawe, bo przez tyle czasu unikała mnie i okłamywała... Czyżby miała zamiar nawciskać mi więcej kłamstw? Czy w ten sposób ma zamiar się mnie pozbyć? Znowu chce mnie oszukać, żebym zostawił ją w spokoju? Hmm, nie, to nie jest w jej stylu. Moja żona jest równie bezwzględna jak ja. Cokolwiek sobie wymyśliła, na pewno nie będzie próbowała się wykręcić ani błagać o życie.

Nie. Tu chodzi o coś więcej.

Niecałe pół godziny później przyjeżdżam do naszego domu w Bostonie. Samochód Seraphiny stoi na podjeździe. Muszę przyznać, że podziwiam ją za odwagę. Jest uparta i nieustraszona, choć wie, co zamierzam jej zrobić i jak dobrze będę się przy tym bawił.

Za to, że mnie zdradziła, czeka ją najsurowsza kara.

Parkuję obok jej auta i zerkam na bagażnik. Przypominam sobie to pukanie, które wcześniej z niego dochodziło, jednak teraz niewiele mnie to obchodzi. Wbiegam po schodkach na ganek i wpadam do domu z takim impetem, że drzwi z hukiem uderzają o ścianę.

– Seraphina! – wrzeszczę, rozpoczynając poszukiwania.

Podświadomie od razu wiem, gdzie ją znaleźć. Na pewno jest w piwnicy, w której znajdują się specjalny fotel i wszystkie narzędzia tortur.

Miałem rację. Drzwi są otwarte. Otworzyła je.

Popycham je, otwierają się na oścież, nie wydając przy tym żadnego dźwięku. Schodzę po betonowych stopniach. W oddali

widzę jedno, słabe światło, które niestety nie oświetla schodów. Coraz wyraźniej słyszę też znajomy dźwięk... jęczenie... tak, to kobiece jęki. Te jednak nie są jękami bólu połączonego z przyjemnością, ale strachu i cierpienia.

Kiedy schodzę, Seraphina już na mnie czeka. Wygląda tak samo mrocznie i przerażająco jak zawsze. Stoi obok kobiety ubranej w majtki i za dużą koszulkę, która siedzi przywiązana do dentystycznego fotela, zwykle używanego przeze mnie do przesłuchań. W ustach ma knebel, a na długich, poplątanych włosach świeżą krew. Jestem pewien, że Seraphina uderzyła ją czymś ciężkim w głowę. Z wytrzeszczonych z przerażenia oczu kobiety spływają łzy, rozmazując przy tym jej tusz. Teraz już wiem, kto był w bagażniku...

Uśmiech Seraphiny jest uroczy i zarazem złowieszczy. W jej dłoni zauważam błyszczący nóż. Trzyma go swobodnie obok swojego uda. Ma na sobie czarny, obcisły kostium i wysokie, sznurowane buty w tym samym kolorze. W piętnastocentymetrowych szpilkach wydaje się taka wysoka i potężna w porównaniu do swojej skrepowanej ofiary. Przyglądam się tej kobiecie, ale jej nie pamiętam. Jestem niemal pewien, że nigdy jej nie pieprzyliśmy.

– Seraphino, po co to wszystko? – Podchodzę bliżej. – Po co ją tu przywiozłaś? I kim ona w ogóle jest?

Dotychczas ani ja, ani Seraphina nie zabijaliśmy niewinnych dziewczyn dla zabawy. Nigdy nie znęcaliśmy się nad nikim, kto tego nie chciał, z wyjątkiem tych kobiet, na które dostaliśmy zlecenia. Teraz Seraphina zmieniła zasady gry. Niestety, te nowe wcale mi się nie podobają.

– Nie podchodź tak blisko, kochany – ostrzega, głośno cmokając i przyciskając ostrze do gardła kobiety. – Chciałeś się czegoś dowiedzieć, prawda? Ja nic ci nie powiem, więc to z nią musisz porozmawiać.

Nagle dochodzi do mnie, że tu wcale nie chodzi o seks, tylko coś o wiele ważniejszego.

Zdziwiony, ale zainteresowany, kucam, by odłożyć broń na podłogę. Kładę ją obok swojego zniszczonego, eleganckiego buta, a kiedy wstaję, od razu unoszę dłonie, by pokazać jej, że niczego nie kombinuję.

Blondynka patrzy wytrzeszczonymi ze strachu oczami raz na mnie, raz na Seraphinę, choć wątpię, by była w stanie ją dojrzeć. Nie może poruszyć głową, bo jej czoło jest przypięte skórzanym pasem do zagłówka.

Seraphina stoi za jej plecami i wskazuje mi wzrokiem drewniane krzesło przy ścianie, po lewej stronie. Najpierw przysuwam je sobie bliżej, a dopiero potem siadam na nim i zakładam nogę na nogę. Dłonie kładę swobodnie na kolanie.

– Po co miałbym z nią rozmawiać? – pytam spokojnie.

– Bo to właśnie z jej powodu tutaj jesteśmy – oznajmia, powoli odsuwając ostrze od gardła tej kobiety. – Widzisz, Fredriku, to przez nią stałam się taka, jaka teraz jestem. Pamiętasz, jak pomogłam ci zabić tę pierdoloną świnię, która zgwałciła cię, gdy byłeś dzieckiem? Więc teraz ty pomożesz mi zabić ją. – Wskazuje czubkiem noża na swoją ofiarę. – Jesteś mi coś winny, Fredriku. I ona też jest mi coś winna.

Milczę przez dłuższą chwilę, bo próbuję to wszystko zrozumieć i znaleźć jakiś logiczny związek pomiędzy związaną kobietą a tym, dlaczego Seraphina zdradziła mnie i nasz Zakon. Zanim się odezwę, chcę mieć chociaż jakiś pomysł, do czego to wszystko może prowadzić. Nienawidzę tracić kontroli nad sytuacją. W każdej konfrontacji to ja muszę rozdawać karty.

Jednak w grze Seraphiny to ona prowadzi, a ja robię się przez to coraz bardziej nerwowo.

– Co ci zrobiła?

W pomalowanych ciemnym cieniem oczach Seraphiny widzę wyraźne zadowolenie. Moja żona uśmiecha się szeroko i wycią-

ga rękę, by pogłaskać włosy blondynki. Przeczesuje je delikatnie palcami, tak jak matki czeszą włosy swoich córek.

– Och, są takie jasne i piękne... – mamrocze, ale nagle unosi dłoń i z całej siły uderza tę kobietę w policzek. Powietrze w piwnicy przeszywa głośny plask. – Nienawidzę jasnych włosów! Nienawidzę blondynek! Zawsze ich nienawidziłam, a już zwłaszcza tej jednej! Od lat jej szukałam, Fredriku. Za to, co mi zrobiła...

– Ale co zrobiła?

Uderza ją ponownie, a z nosa blondynki tryska krew. Jej ręce trzęsą się pod skórzanymi pasami, a mięśnie nóg na zmianę napinają się i rozluźniają, gdy desperacko usiłuje się uwolnić. Spojrzeniem błaga mnie o pomoc. Nie powiem jej, że nie po to tu przyszedłem i że jestem bezdusznym skurwielem, który chce tylko dowiedzieć się kilku rzeczy. Nie chcę, żeby blondynka zginęła i jeśli uda mi się powstrzymać Seraphinę, zrobię to, ale w tej chwili mam inne priorytety. Śmierć niewinnej kobiety nie spędzi mi snu z powiek.

Jestem potworem.

– Dlaczego sam jej nie zapytasz? – Seraphina obchodzi krzesło dookoła i wyjmuje knebel z ust kobiety.

– PROSZĘ! BŁAGAM! WYPUŚCIE MNIE! – Jej zawodzenie rani moje uszy, wypełnia moje ciało bólem i rozpaczą.

Czuję ból tylko wtedy, kiedy ofiara jest niewinna, powtarzam sobie w myślach. Właśnie dlatego wiem, czy ktoś mnie okłamuje. Wyczuwam, czy ofiara na moim fotelu zasługuje na wolność, czy na śmierć. To jest jak instynkt... To głos mojego serca... Głos, którego umysł czasem nie chce słuchać.

Czuję ból tylko wtedy, kiedy ofiara jest niewinna...

Blondynka wierci się gwałtownie na krześle. Chce uwolnić się z więzów, ale nie ma na to szans.

– P-proszę... Błagam was... Błagam, wypuście mnie. – Znosi się głośnym płaczem, a jej ciało gwałtownie się trzęsie.

Wszystko dzieje się zbyt szybko. Zrywam się z krzesła i łapie Seraphinę dokładnie w chwili, gdy ta przejeżdża czubkiem noża po twarzy kobiety. Próbuje się wyrwać, wymachuje w powietrzu pięściami, ale po chwili udaje mi się unieruchomić jej nadgarstki. Przyciskam je do jej piersi. Nóż spada na betonową podłogę, ale... Nagle mam przed oczami czarne plamy. Czuję ogromny, nieznosny ból. Seraphina uderzyła tyłem głowy w moje czoło. Puszczam ją instynktownie i potrząsam głową. Chcę odzyskać wzrok. Pieprzone plamy, nic nie widzę... Znikają dopiero po kilku sekundach. Seraphina podnosi z ziemi nóż. Szybkim krokiem zmierza w kierunku swojej ofiary...

– SERAPHINO! NIE!

Jest już za późno.

Czas staje w miejscu. Świat staje w miejscu. Jeśli ta kobieta rzeczywiście знаła odpowiedź, której poszukuję, to wypłynęła ona z jej gardła wraz z gęstym strumieniem krwi. Zataczam się do tyłu, na swoje drewniane krzesło. Siedzę na nim zgarbiony i pokonany i obserwuję, jak oczy blondynki zachodzą mgłą. Jej powieki delikatnie drżą. Ten widok przyprawia mnie o mdłości. Patrzę, jak się dusi i nie mogę nic z tym zrobić. Jej ciało walczy o każdy kolejny oddech. Zakrwawiona pierś unosi się i opada.

A potem jej palce prostują się i opadają na podłokietniki. Martwe oczy unoszą się w stronę sufitu. Krew spływa z krzesła na podłogę, tworząc pod nogami kobiety dużą, ciemną kałużę. Nie przestaje lecieć. Leci i leci. Zastanawiam się, ile to litrów...

Wzdycham głośno i przymykam oczy. Mam wyrzuty sumienia. Czuję ból.

Czuję ból tylko wtedy, kiedy ofiara jest niewinna.

Kiedy Seraphina odwraca się do mnie, ma uchylone wargi i wygląda na zdezorientowaną. W jej oczach zauważam żal. Spuszcza wzrok na swoją prawą dłoń, po czym szybko wypuszcza z niej zakrwawiony nóż. Patrzy na niego tak, jakby to on był zły. Unosi obie dłonie i długo im się przygląda. Wygląda, jak

gdyby sama nie wiedziała, jak mogła to zrobić. Ja też tego nie rozumiem. Seraphina jest płatną morderczynią, katem. Zabiła już dziesiątki ludzi, ale oni wszyscy zasługiwali na śmierć. Wszyscy, z wyjątkiem trzech kobiet, które zamordowała wczoraj i dziś. To były pierwsze ofiary, które zabiła z zimną krwią. A przynajmniej pierwsze, o których mi wiadomo...

Czy to z mojego powodu? Czy to przeze mnie zwariowała?

Nie. Seraphina zawsze była szalona. Odkąd ją poznałem, była sadystyczną suką... sadystyczną suką, którą pokochałem nad życie. Ale to... to, czego teraz jestem świadkiem...

Niczego już, kurwa, nie rozumiem.

– To nie była ona. – Głos Seraphiny się załamuje. Odrywa wzrok od swoich zakrwawionych dłoni i patrzy mi prosto w oczy. – Tak strasznie cię przepraszam, Fredriku. – Po jej policzkach płyną łzy. – Przepraszam.

Pada na kolana i zakrywa twarz rękami. Szybko do niej podbiegam i przyciągam do siebie jej kruche ciało. Dotykam ustami czarnych włosów na czubku jej głowy i kołyszę się z nią powoli, raz do przodu, raz do tyłu. Seraphina nie przestaje płakać. Pozwalam jej na to, ale tylko przez chwilę. Kiedy skończy, muszę usłyszeć odpowiedź. Prawda w końcu musi wyjść na jaw.

– Powiedz mi, o co chodzi, kochanie – szepczę, ściskając ją mocno w ramionach. – Powiedz, kim ona była. Pomogę ci, tylko mi powiedz. Pozwól mi zrozumieć.

Seraphina kręci głową.

– Ja... ja nie mogę. Nie mogę ci powiedzieć, bo mnie znienawidzisz.

– Nigdy nie mógłbym cię znienawidzić – oświadczam zgodnie z prawdą.

Nadal Kocham Seraphinę, choć nie podobają mi się niektóre jej zachowania. Chociażby to, że właśnie zabiła niewinną kobietę... Ale teraz płacze wtulona w moje ramiona i wygląda tak żałośnie i niewinnie, że nie jestem w stanie się jej oprzeć. W tym momen-

cie znowu ją kocham, chociaż wiem, że musi umrzeć za to, co zrobiła.

Ale najpierw chcę poznać prawdę.

– Powiedziałaś, że ona jest ci coś winna. O czym mówiłaś?

Z początku Seraphina nie chce odpowiedzieć. Czekam cierpliwie, bo mam nadzieję, że jeśli nie będę na nią naciskać, to w końcu ośmieli się i wszystko mi wyjaśni.

– Miałam dziesięć lat, kiedy ją poznałam... – zaczyna mówić, ale nagle znów milknie.

Czuję tysiące emocji jednocześnie: ciekawość, zdenerwowanie, rozpacz... Mimo to, próbuję zachować spokój.

– Fredriku, ja nie chciałam cię zdradzić... – Zmienia temat. Najwyraźniej nie chce rozmawiać o tej kobiecie. – Ja... ja po prostu wiedziałam, że musisz mnie zostawić, ale nie potrafiłam z tobą zerwać... Próbowałam. Przysięgam, że próbowałam, ale nie mogłam tego znieść. Właśnie dlatego cię okłamałam. Dlatego zaczęłam sypiać w Szesnastej Kryjówce. Nie chcę tego słuchać, ale wiem, że nie mam wyboru.

Zacieśniam uścisk i przygotowuję się na najgorsze – na to, jaki ból zadadzą mi jej słowa i na to, jaki ból ja zadam później jej.

– Ja... ja z nim sypiałam... Z Marcusem, tym facetem z kryjówki. Zagryzam zęby i biorę głęboki wdech.

Zachowuję spokój.

Milczę.

Mam ochotę obdrzeć ją żywcem ze skóry.

– Zrobiłam to, bo chciałam, żebyś się o tym dowiedział...

– Dlaczego chciałaś, żebyś się o tym dowiedział? – Ton mojego głosu nadal pozostaje opanowany.

– Bo chciałam...

Urywa.

Kończy mi się cierpliwość. Przesuwam między palcami skórzane pasy przytwierdzone do krzesła i powoli unieruchamiam nimi jeden z jej nadgarstków.

– Czego chciałaś? – Opieram podbródek na czubku jej głowy.

– Chciałam cię zranić.

Kocham cię.

Nienawidzę cię.

– Bo miłość to ból – kontynuuje. I ma rację. – Miłość to największe oszustwo na świecie. I wiesz co, kochałam cię dokładnie tak samo mocno, jak mocno cię nienawidziłam za to, że przez ciebie poznałam, co to miłość!

Nagle czuję ukłucie.

I ciepło w okolicy uda. Przemieszcza się żyłami w górę mojego ciała... Coraz wyżej...

Pomieszczenie rozmywa mi się przed oczami. Z początku tylko odrobinę, ale i tak wiem, że wpadłem w kłopoty. Narkotyk zaczyna działać. Próbuję się otrząsnąć, ale jest zbyt mocny. Oplata się wokół mojego umysłu, niczym pajęczka sieć wokół muchy.

Nawet nie zauważyłem, kiedy Seraphina uwolniła się z moich ramion. Ani kiedy upadłem na twardą podłogę...

Benzyna. Chłodne powietrze śmierdzi benzyną tak bardzo, że aż palą mnie dziurki w nosie.

– Kochanie... gdzie jesteś? – próbuję wołać, ale nie jestem pewien, czy te słowa w ogóle opuszczają moje usta. – Sera...

Moje powieki są coraz cięższe. Płomienie. Powietrze nie jest już chłodne. Jest gorące, kurewsko gorące. Chcę poluzować krawat, zdjąć marynarkę... ale nie mogę poruszyć rękami.

– Kocham cię, Fredriku – słyszę jej szept tuż przy swoim uchu; jest delikatny jak pyłek i zabójczy niczym trucizna. Chciałbym pocałować moją ukochaną, poczuć jej miękkie wargi na swoich. Chciałbym ocierać się o jej biodra tak długo, aż zaczniesz jęczeć.

– Kocham cię... i właśnie dlatego musisz pozwolić mi odejść. – Wydaje mi się, że przesuwa moje ciało po podłodze.

Dym. Wszędzie jest pełno dymu. Drapie moje gardło, drażni płuca, wnika w pory skóry i naczynia krwionośne. Mam wrażenie, że się gotuję. To ciepło jest nieznośne, ogień pożera drewnia-

ne belki podtrzymujące sufit. Nie mogę otworzyć oczu. Nie widzę płomieni, ale je słyszę. Liżą ściany niczym tysiące demonów wysłanych z piekła, by mnie torturować.

– Seraphina... – wołam zachrypniętym głosem. Boli... Wszystko boli... – ...Sera...

~~~

Następnego poranka budzę się sam, pośrodku pustego, zimnego pola. Słońce świeci mi w twarz, a cienka warstwa białego śniegu wokół mojego ciała jest czarna od sadzy spadającej z moich ubrań. Spoglądam w niebo, takie czyste, niebieskie, i widzę kątem oka srebrny dym, unoszący się wysoko, wysoko...

Usiłuję wstać, ale udaje mi się tylko przeturlać na bok. Zmarznięta trawa łaskocze mój policzek. Gdy wypuszczam z ust gorący oddech, śnieg zaczyna się topić tuż przy mojej twarzy. Zamarzam, a zarazem jest mi ciepło. To nie ma żadnego sensu.

Po moim domu pozostała jedynie cienka strużka dymu unosząca się ponad koronami drzew.

Ale Seraphina nie zostawiła mnie tam, żebym spłonął.

*Dlaczego mnie wyciągnęła?*

Czuję ból z tyłu głowy i z trudem unoszę ręce, by rozmasować skronie opuszkami palców. Musiała ciągnąć mnie za nogi, więc moja głowa obijała się o betonowe schody...

Wszystko mnie boli, ale żyję. A nie żyłbym, gdyby Seraphina tego nie chciała.

Odnajdę ją.

Nigdy nie przestanę jej szukać.

To niebezpieczna gra, a Seraphina podniosła poprzeczkę.

Wchodzę w to.





## ROZDZIAŁ PIERWSZY

*Fredrik*

*Obecnie...*

Pięciu mężczyzn nie spuszcza mnie z oczu, nawet na krótką chwilę. Dwóch siedzi po moich obu stronach, a trzech zajmuje miejsca naprzeciwko.

Przy drzwiach musiałem oddać swój pistolet.

– To pokojowa kolacja, monsieur – wyjaśniał odzwierny. – Nie wolno wносить na nią broni.

– Świetnie – odpowiedziałem, po czym wyjąłem pistolet zza paska spodni i położyłem na stole.

Wiedziałem, że ukrywanie przy sobie innej broni nic mi nie da, bo na pewno przeszukają mnie przed wejściem. I miałem rację.

Ale broń nie jest mi potrzebna.

Nieuzbrojony, z butelką wina w dłoni, minąłem blisko tuzin ochroniarzy i wszedłem w samą paszczę lwa. Czterej najbardziej zaufani ludzie François Moreau nie odstępowali mnie na krok.

Tak jak przewidywałem, kelner natychmiast zabrał przyniesione przeze mnie wino i postawił je pośrodku stołu. François podziękował za prezent; w końcu to drogie, francuskie wino... Zachowałyby się wyjątkowo nieuprzejmie, gdyby nie okazał wdzięczności, nawet jeśli podejrzewa, że zamierzam go zabić.

– Czy to prawda? – pyta spokojnym głosem, spoglądając na mnie z drugiego końca długiego stołu. – Vonnegut naprawdę wyznaczył nagrodę za głowy swoich trzech byłych pracowników? Jak rozumiem, jesteś jednym z nich?

– Tym razem plotki są prawdziwe. – Kiwam głową.

François unosi kąciki suchych, pomarszczonych ust i posyła mi pełen pewności siebie uśmiech. Ma krótkie, siwiejące włosy; z tyłu równo obcięte, a z przodu zaczesane na jedną stronę. Pokażna ilość żelu sprawia, że wyglądają, jakby były przyklejone do jego małej głowy.

– W takim razie dobrze się składa, że nie interesują mnie nagrody rozdawane przez kogoś takiego jak Vonnegut. – Jego uśmiech jest teraz bardziej arogancki. Czyżbym miał mu być wdzięczny za to, że jeszcze żyję?

Kiwam głową, a następnie unoszę do ust kieliszek wina. To wino, które należy do François; nie to, które mu przyniosłem.

Brunet z blizną nad lewą brwią, który siedzi po mojej lewej stronie, rozwija elegancko zwiniętą, białą, bawełnianą serwetkę i kładzie ją sobie na kolanach. Pozostali trzej mężczyźni robią dokładnie to samo, kiedy kelner wchodzi przez boczne drzwi z pełnymi jedzenia talerzami. François jednak się nie porusza. Cały czas uważnie mnie obserwuje, nawet w chwili, kiedy kelner podaje mu jedzenie.

– A więc, monsieur Gustavsson. – Składa dłonie i opiera łokcie na stole. – Jak rozumiem, przysłano cię tutaj, żebyś zdobył ode mnie informacje na temat mojego pracodawcy, zgadza się?

– Tak – odpowiadam krótko, nie rozwijając tematu. Niech sam się trochę pogłowi, zanim każe swoim ludziom mnie zabić.

– A czemuż to sądzisz, że udzielę ci takich informacji? – pyta z wyraźnym rozbawieniem.

W przeciwieństwie do niego, zachowuję powagę. Wyraz mojej twarzy jest chłodny, spokojny i niewzruszony. Wraz z każdą sekundą mojego opanowania, on robi się coraz bardziej nerwowy.

Jestem tutaj sam, bez broni. Siedzę przy stole z pięcioma mężczyznami, którzy, mimo zapewnień odzwiernego, na pewno są uzbrojeni po zęby. Przybyłem samotnie do ogromnej posiadłości otoczonej kilometrami prywatnego terenu, tuż za Niceą, we Francji, którą z zewnątrz patroluje przynajmniej dziewięciu ludzi.

François musi się domyślać, że wcale nie przyjechałem sam.

Składam dłonie, naśladując jego gest.

– Zanim ta nasza... – macham ręką – urocza kolacyjka dobiegnie końca, zapewniam cię, że dostanę wszystko, czego zechcę. A co więcej – unoszę palec wskazujący – ty sam mi to oddasz, bez walki.

François wygląda na zaskoczonego i rozbawionego. Kręci głowę, bierze łyk wina, a następnie powoli odstawia kieliszek na stół. Z niczym się nie śpieszy i długo każe mi czekać na swoją odpowiedź. Blondyn po mojej prawej stronie obserwuje mnie znad swojego kieliszka. Zarówno on, jak i trzej pozostali mężczyźni, są ubrani tak, jak ja i François – w drogie, skrojone na wymiar garnitury oraz eleganckie krawaty. Trudno jednak zaprzeczyć, że to ja wyglądam z nich wszystkich najlepiej.

Czterej mężczyźni unoszą widelce i zaczynają jeść dokładnie w tej samej chwili, jakby byli jedną osobą. Kilka sekund później François do nich dołącza, choć jestem pewien, że wcale nie jest głodny. Z pewnością chce jeszcze bardziej przeciągnąć tę chwilę ciszy.

Powoli przeżuwa i połyka kolejne kęsy.

– Ach tak? – pyta w końcu z uśmiechem, spoglądając na mnie z wyższością. Jego błyszczący, srebrny widelec uderza z brzdękiem o talerz.

– Jak najbardziej – odpowiadam z taką pewnością, jakbym mówił mu, że na dworze pada deszcz i zapraszał, by podszedł do okna i sam się przekonał. – Wiem, że szefem twojego Zakonu jest niejaki monsieur Sébastien Fournier. Przejął go w zeszłym roku, po tym, jak monsieur Julien Gerard został zamordowany w Marsylii.

François przestaje jeść i ociera usta serwetką, ale mi nie prze-  
rywa.

– Wiem też, że wielu z ludzi Fourniera to Amerykanie, którzy mordują niewinne Amerykanki.

Mężczyzna w zamyśleniu przechyla siwiejącą głowę na bok.

– Och, monsieur, chyba nie chcesz mi powiedzieć, że akurat ty przejmujesz się losem kilku niewinnych kobiet – kpi sobie.

Z pozoru pozostaję niewzruszony, ale w głębi serca jego słowa sprawiają mi ból. Skurwiel musiał wiedzieć, że to mnie ruszy, inaczej nie zaczynałby tego tematu.

Jeszcze raz podnoszę kieliszek i patrzę François w oczy, pro-  
wokując, by próbował dalej.

Uśmiecha się słabo i bierze kolejny łyk wina, a ja odstawiam swój kieliszek na stół.

– No cóż – spuszcza wzrok na swój talerz. – Skoro już to wszystko wiesz, to czego mógłbyś chcieć ode mnie?

– Potrzebuję klucza do skrytki bankowej w Nowym Jorku.

François uśmiecha się teraz jeszcze szerzej, przez co zmarszcz-  
ki wokół jego ust robią się głębsze. Posyła znaczące spojrzenie kelnerowi, a ten od razu do niego podchodzi.

– Proszę, bądź tak miły i otwórz butelkę wina, które tak szczo-  
drze sprezentował nam dzisiaj monsieur Gustavsson. – Dwoma  
palcami wskazuje na butelkę.

Kelner wykonuje polecenie, po czym stawia otwarte wino na  
stół.

Pozostali czterej mężczyźni odkładają swoje sztucce. Kolacja  
schodzi na dalszy plan, teraz muszą pozostać w pogotowiu. Jed-  
nocześnie ocierają usta serwetkami i wypijają nieco wina ze swo-  
ich kieliszków.

Kiedy François pstryka palcami, w jadalni pojawia się drobna  
dziewczyna o włosach w kolorze miodu spiętych z tyłu głowy.  
Jest niesamowita; delikatna, krucha i bezbronna. Ma na sobie krót-  
ką, czarną spódniczkę, która ciasno przylega do jej ciała w kształ-

cie klepsydry. Przyglądam się delikatnej, odkrytej szyi i pełnym, okrągłym piersiom ukrytym pod materiałem cienkiej, białej bluzki. Dziewczyna nie ma na sobie stanika, a jej sutki sterczą seksownie, zapraszając mnie, bym wziął je w usta.

Tak bardzo chciałbym ją posiąść... zabrać ze sobą do łóżka...

Przez krótką chwilę jej spojrzenie spotyka się z moim, ale dziewczyna odwraca wzrok, nim François zdąży to zauważyć. Te kilka sekund wystarczyło, żeby poczuła ciepło między udami. Jestem tego pewien.

– Poprosimy nowe kieliszki, mademoiselle – mówi François, na co ona szybko wraca do kuchni. – Spodobała ci się? – pyta mnie chwilę później, bo pewnie zauważył, jak pożerałem ją wzrokiem. – Może mógłbym zaoferować ci jej usługi, zanim nasze spotkanie dobiegnie końca? Jestem hojnym człowiekiem, monsieur. Wprawdzie nie zamierzam pozwolić ci wyjść z mojego domu o własnych siłach, ale zanim umrzesz, nie będę przecieź zabraniał ci skosztować ostatnich przyjemności płynących z życia. Możesz to uznać za prezent pożegnalny.

– Doceniam ofertę, ale to nie będzie konieczne.

– Cóż, powinienes chociaż coś zjeść – nalega, wskazując jedzenie, którego dotychczas nawet nie tknąłem.

Kręcę głową i głośno wzdycham.

– Jak wiesz, monsieur, nie przyszedłem tutaj się najeść. Przyszedłem wyłącznie po klucz.

– Niestety, nie dostaniesz go – oświadcza, posyłając mi kolejny uśmiech. Następnie wskazuje palcem siedzącego obok mnie blondyna. – Przynieś mi czarne pudełko. Leży na moim biurku.

Mężczyzna spogląda na mnie chłodno, odkłada swoją serwetkę i wstaje. Kiedy wychodzi z jadalni, kobieta o miodowych włosach i rozgrzanych udach wraca do nas z sześcioma wąskimi kieliszkami, których nóżki wsunęła między swoje palce. Rozstawia je przed każdym z nas, do mnie podchodząc na samym końcu. Staje bardzo blisko i ociąga się dłuższą chwilę, wyjmując nóżkę

spomiędzy szczupłych palców, ale ja nie zaszczytam jej nawet swoim spojrzeniem.

– Podejdz tu – zwraca się do niej François, a kiedy dziewczyna podchodzi, on patrzy na mnie z ukosa i z cwany uśmiechem wskazuje na butelkę wina, które przyniosłem. – Monsieur Gustavsson napije się pierwszy – zwraca się do kelnerki.

Dziewczyna wraca do mnie z butelką w dłoniach.

– Myślisz może, że nie domyśliłem się, co zamierzasz zrobić? – Macha ręką, by dodać swoim słowom dramatyzmu. – Wiem o tobie dużo więcej, niż ci się wydaje. I nie mam tu na myśli wyłącznie twojego... nieszczęśliwego wypadku w San Francisco. Zabiłeś tę kobietę, tę niewinną kobietę...

Chociaż mam ochotę krzyknąć, udaje mi się zachować spokój. Skoro ten skurwiel tak mnie prowokuje, musi być naprawdę przerażony.

– Wiem o tobie wszystko. – Szczerzy złośliwie zęby, jakby miał w kieszeni jeszcze kilka asów. Jestem pewien, że wie więcej, niż się spodziewałem.

Po raz pierwszy, odkąd przekroczyłem próg tej posiadłości, nie jestem pewien, jaki będzie mój kolejny krok. Mimo to, nadal nie tracę spokoju. Potrzeba o wiele więcej niż złośliwości faceta, który niedługo umrze, żeby wyprowadzić mnie z równowagi.

Dziewczyna kończy nalewać wino do mojego kieliszka i odchodzi na bok.

François widzi, że nie zamierzam pytać, co miał na myśli, więc postanawia sam mi to wyjaśnić.

– Słyszałem o twojej przeszłości. – Popija wino, które pił wcześniej do kolacji. – O tym, skąd wzięło się to twoje przezwisko. – Pociera o siebie opuszki palców i przez chwilę udaje zamyśłonego. – Jak to było...? Hmm... Ach, tak, już pamiętam. Nazywano cię małym szakalem. Padlinożercą; zapchlonym, wściekłym i nic niewartym.

*Ale fajnie będzie patrzeć, jak ten skurwiel zdycha.*

Udaję, że to mnie nie rusza i z zainteresowaniem unoszę brwi.

– Mam wrażenie, że próbujesz mnie przekupić. – Zerkam na swojego rolexa. – Problem w tym, że niewiele czasu ci zostało.

François prycha z rozbawieniem, pochyla się i opiera obie ręce na stole. W tym samym momencie wraca blondyn z czarnym, błyszczącym pudełeczkiem wielkości jego dłoni i kładzie je na stole, tuż przed swoim szefem.

Nie odrywając ode mnie wzroku, François otwiera pudełko i wyciąga z niego złoty kluczyk na grubym, złotym łańcuszku. Unosi go w stronę światła, żebym mógł go lepiej zobaczyć.

– Nie boję się ciebie, monsieur. – Rozpina marynarkę i chowa kluczyk do wewnętrznej kieszeni na piersi. – Chciałem dać ci szansę, żebyś mógł wynegocjować sobie darowanie życia, ale masz w sobie zdecydowanie zbyt wiele pewności siebie. – Jego głęboko osadzone, jasne oczy przestają wpatrywać się we mnie i spoglądają na mój kieliszek. – Ależ nie krępuj się, napij się wina, które sam przyniosłeś. – Posyła mi złośliwy uśmiech i macha dłonią w geście ponaglenia. – Spodziewałeś się tego, prawda?

Nagle brunet po mojej lewej zaczyna wiercić się niespokojnie na swoim krześle. Wygląda raczej słabo i jest wyraźnie roztrzęsiony. Unosi rękę i wsuwa palec pod kołnierzyk swojej eleganckiej koszuli, po czym przesuwając nim raz w prawo, raz w lewo, odsuwając materiał od spoconej skóry. Jego twarz zaczyna się robić przeraźliwie blada.

François patrzy na niego bez emocji.

– Czy coś nie tak?

Brunet wstaje od stołu.

– Wybacz mi, monsieur, ale nie czuję się zbyt dobrze. Może będzie lepiej, jeśli zrezygnuję z reszty posiłku i stanę przed drzwiami?

François kiwa głową, pozwalając mu odejść.

Brunet odsuwa krzesło, ściskając w dłoni serwetkę. Ściera pot z czoła i wychodzi chwiejnym krokiem.

– A jednak cieszę się, że niczego nie jadłem – kpię, unosząc brwi i z niesmakiem odsuwając od siebie talerz.

Pozostali mężczyźni, włącznie z François, jednocześnie spoglądają na swoje jedzenie, po czym rzucają na nie serwetki. Kelnerzy natychmiast odnoszą talerze do kuchni.

François wygląda na zirytowanego. Pewnie myśli o tym, że kiedy tylko ten wieczór dobiegnie końca, wywali swojego kucharza na zbity pysk.

– Może jednak się napijesz? – wraca do tematu. – Miałeś spróbować wina, zapomniałeś? – Wskazuje palcem mój kieliszek.

– A co, myślisz, że je zatrujęm?

François uśmiecha się i z chytrym wyrazem twarzy splata ze sobą palce.

– Chciałbym, żebyś napił się wina – powtarza zniecierpliwiony. Najwyraźniej chce już zakończyć tę sprawę.

Wszystkie oczy skupione są teraz na mnie. Każdy jest ciekawy, co się stanie – François, jego trzech pracownicy, stojący przy ścianie kelner, a nawet dziewczyna o miodowych włosach.

Kiwam głową i unoszę w palcach kieliszek. Z niechęcią podsuwam go do uchylonych warg i powoli wypijam łyk wina. W tym samym momencie kolejny mężczyzna zaczyna blednąć.

François jednak go nie zauważa. W tej chwili widzi tylko mnie.

– Wypij do dna – rozkazuje.

– Jak sobie życzysz. – Unoszę kąciki ust, po czym znów dotykam kieliszek wargami.

Nagle zza ściany dociera do nas głośny huk. Hałas dochodzi z miejsca, w którym przed chwilą zniknął brunet. Powietrze przecina głośny, kobiecy wrzask, a chwilę później kolejne krzyki po francusku:

– Zadzwoncie po karetkę! Monsieur Bertrand stracił przytomność!



François nie ma pojęcia, co się dzieje. Kraży wzrokiem pomiędzy mną a swoimi ludźmi, aż w końcu zauważa, że oni również nie czują się najlepiej. Jeden z nich traci przytomność. Upada na podłogę razem ze swoim krzesłem.

W otoczonych zmarszczkami oczach François widzę zarówno wściekłość, jak i strach. – Coś ty... – Zrywa się na nogi i wskazuje mnie kościstym palcem. – Ty to zrobiłeś! Ale jak?! Odpowiadaj!

Nagle kładzie dłoń na swoim sercu i opada z powrotem na krzesło.

Kolejny mężczyzna próbuje wstać, ale zatacza się i upada na podłogę, zwijając się w konwulsjach i wymiotując.

Za murami posiadłości słyszę cichy odgłos strzałów.

Kelner stojący przy ścianie bierze nogi za pas. Dźwięk rozbijającego się szkła i spadających na marmurową posadzkę metalowych tac roznosi się echem po korytarzu.

– Sukinsyn! – krzyczy François. Jedną ręką nadal wskazuje na mnie, a drugą próbuje przytrzymać się stołu. Jego twarz zaczyna zmieniać kolor. Teraz ma bardzo ładny odcień łączący w sobie burgund i popiel... Ciekawe, czy uda mi się kupić krawat w tym kolorze?

Wstaję od stołu i ze spokojem wyglądam klapy garnituru od Armaniego, po czym unoszę kieliszek wina, które przyniosłem i dopijam trunek do dna na oczach zaskoczonego François. Mężczyzna obserwuje mnie z przerażeniem w oczach, kiedy biorę inny kieliszek wina – ten, z którego nigdy tak naprawdę nie piłem – i podchodzę bliżej. Rozgląda się nerwowo i próbuje sięgnąć pod marynarkę po broń, ale nagle zaczyna wymiotować. Zatrzymuję się i czekam, bo nie chcę ubrudzić sobie butów. François się dusi. Odchyła głowę, przyciska plecy do oparcia krzesła i otwiera usta, desperacko próbując nabrać powietrza, ale nie może. W końcu przechyla się i uderza twarzą w drewniany blat.

Jaka szkoda, że zdechł szybciej, niż zdążyłem mu wytłumaczyć, jak dodałem truciznę do butelki wina, której nawet nie dotknąłem.

Strzały na zewnątrz padają coraz częściej. Dochodzą z niedaleka.

Stawiam kieliszek na stole, obok łysego placka na czubku głowy François, po czym łapię trupa za ramiona i opieram ciężkie cielsko o oparcie. Jego twarz ma makabryczny wyraz; martwe oczy są szeroko otwarte, brudne od wymiocin usta uchylone, a język spuchnięty.

Sięgam do kieszeni na jego piersi, wydaję z niej kluczyk i chowam go do kieszeni marynarki. W pewnym sensie miałem rację – François rzeczywiście oddał mi go bez walki. Musiałem się tylko dowiedzieć, gdzie go trzyma, a jego arogancja znacznie mi to ułatwiła. – Dobrze się spisałaś – mówię do dziewczyny o miodowych włosach, która nadal stoi tam, gdzie stała.

Rumieni się i spuszcza wzrok na podłogę. Jest taka przesadnie skromna, taka delikatna... Taka fałszywa. Wiem, że spełniłaby każdą zachciankę jakiegokolwiek mężczyzny, gdyby ten obiecał jej za to wystarczająco dużo seksu i kokainy, by na kolejny tydzień mogła odlecieć w nicość.

Nagle nie wygląda już na zawstydzoną. Ma błagalny wyraz twarzy, który zdecydowanie mnie odpycha. Cholera, szkoda. Naprawdę chciałem zabrać ją do łóżka...

Dziewczyna zaplata ręce na swoich dużych piersiach i nerwowo przetyka ślinę. Małymi, zielonymi oczami zerka na wszystkie wejścia do jadalni po kolei. Służba François nadal biega w panice po posiadłości.

– Gdzie to jest? – pyta roztrzęsiona, oczywiście mając na myśli kokainę.

Przesuwa dłońmi po swoich ramionach. Raz w górę, raz w dół...

Na zewnątrz pada ostatni strzał, a sekundę później do pomieszczenia wchodzi Dorian Flynn, nazywany przez Izabel Seyfried „blondwłosym, niebieskookim diabłem”. Przy boku wciąż trzyma broń, kaliber 9 milimetrów.

– Masz to? – od razu przechodzi do konkretów, a ja w odpowiedzi tylko kiwam głową. Kiedy zauważam, że jego krótkie, sterczące włosy są brudne od krwi, ze zdziwieniem przechylam głowę na bok.

– Potrafisz może skończyć swoją misję, nie robiąc przy tym bałaganu?

– Ty chyba, kurwa, żartujesz! Uwielbiam pieprzony bałagan!  
– Uśmiecha się. – A czy ty potrafisz skończyć chociaż jedną misję bez ociągania się? – dodaje ze zniecierpliwieniem. – Chciałbym stąd spadać, zanim przyjedzie policja.

– Hej, czekaj no! – Dziewczyna podchodzi bliżej. – A co ze mną? – Spogląda najpierw na Doriana, a potem na mnie. – Nie wyjdziecie stąd, dopóki nie dostanę tego, co mi obiecałeś!

Z każdą sekundą Dorian robi się coraz bardziej nerwowy, więc szybko bierze sprawy w swoje ręce. Kiedy tylko unosi broń, po pokoju rozlega się huk wystrzału, a dziewczyna z kulą w skroni upada na marmurową posadzkę.

– Pieprzona ćpunka – warczy, odwracając gwałtownie głowę.  
– Idziemy.

Strzepuję kurz z marynarki i omijam jej ciało, kierując się do wyjścia.



## ROZDZIAŁ DRUGI

*Fredrik*

Następnego dnia wracam do swojego domu w Baltimore, gdzie czekam na mojego pracodawcę, a zarazem przyjaciela, Victora Fausta. Minęła już piętnasta, a z każdą kolejną minutą coraz trudniej jest mi się powstrzymać przed zejściem do piwnicy. Zwykle odwiedzam ją przed południem, ale dzisiejszy dzień jest inny... Czasami pewne rzeczy trzeba odłożyć na później.

Wiem, jak bardzo się denerwuje, kiedy nie widzi mnie przez dłuższy czas i przykro mi, że muszę ją tak zostawiać. Na szczęście ona rozumie, że moja praca wymaga wiele czasu i uwagi, a ja wynagradzam jej to najlepiej, jak potrafię...

Za każdym razem mi wybaczają.

Poza tym, ona również jest częścią mojej pracy, choć to wyjątkowo osobista misja. Pomimo swoich zobowiązań wobec Victora, zawsze znajduję dla niej czas. Ostatnio szło nam coraz lepiej... Żałuję, że moją nieobecnością mogłem zniweczyć nasze postępy.

Zjadam późny lunch, po czym siadam w kuchni z laptopem. Niedługo później przyjeżdża Victor.

– Dobrze cię widzieć. – Uśmiecham się do niego w drzwiach i zapraszam do środka.

Victor rozsiada się w salonie na jednym z dwóch czarnych, skórzanych foteli o drewnianych nogach, które sprowadziłem

z Włoch, a ja zajmuję miejsce na drugim, po przeciwnej stronie okrągłego, drewnianego stolika.

Wyjmuję z kieszeni koszuli złoty kluczyczek i kładę go na blacie. Victor spogląda na niego.

– Domyślałam się, że Moreau nie chciał współpracować, co?

Prostuje ręce na podłokietnikach, co sprawia, że prawy rękaw jego czarnej marynarki podwija się i odsłania duży, srebrny zegarek.

– Monsieur François Moreau okazał się dokładnie taki, jak go opisałeś. – Uśmiecham się. – Wyjątkowo uparty i pewny siebie skurwysyn. – Przerrywam i unoszę w górę dwa palce, gdy do pokoju wchodzi moja pokojówka. – Greto, proszę, przynieś nam... – Spoglądam wyczekująco na Victora.

– Piwo będzie okej – podpowiada.

– Dwa Guinnessy.

Greta kiwa siwiejącą głową i wraca do kuchni.

Victor w końcu wyciąga rękę, po czym przesuwa kluczyczkiem po błyszczącym blacie stołu. Owija złoty łańcuszek wokół palców i unosi klucz, by przyjrzeć mu się z bliska.

– Więc... ta skrytka w Nowym Jorku... – zaczynam mówić, opierając prawą stopę na lewym kolanie – znajdziemy w niej wszystkie informacje, których potrzebujesz, czy mam się szykować na kolejną wycieczkę do Francji?

Victor chowa kluczyczek do wewnętrznej kieszeni marynarki i kręci głową, po czym też opiera stopę na kolanie.

– Wystarczy nam to, co tam jest. Fourniera ciężko namierzyć, ale nie potrzebuję go, żeby przejąć jego interesy. Widzisz, Fournier powierzył Moreau wszelkie poufne informacje na temat swoich ludzi. Nazywał go Strażnikiem. I muszę przyznać, że jako strażnik François spisywał się całkiem nieźle. Odwalił kawał dobrej roboty, zapisując wszystkie dane na urządzeniu, które ukrył daleko za oceanem... Ale jeśli sądził, że będą tam bezpieczne na zawsze, to był zwykłym kretyłem.

Greta wchodzi do salonu z dwoma otwartymi butelkami i podaje pierwszą z nich Victorowi.

– Czy mam przygotować dodatkowe nakrycie na kolację? – pyta.

Ma na sobie granatową spódnicę do połowy łydki i różową, zapinaną na guziki koszulę z krótkim rękawem. Swoje długie, siwe włosy spięła z tyłu głowy w elegancki kok. Greta jest kobietą o przeciętnym wzroście i przeciętnej wadze. Na łydkach i kostkach ma wyraźne żyłaki.

Spoglądam wyczekiwaniu na Victora, bo sam jestem ciekawy, czy zamierza zostać do wieczora.

– Nie, niedługo muszę jechać, ale dziękuję – odpowiada.

Greta kiwa głową, a ja pozwalam jej odejść. Nim znika za drzwiami, posyła mi jeszcze zmartwione spojrzenie, które znam aż nazbyt dobrze.

Cassia o mnie pytała.

Odwracam się do Victora.

– Muszę przyznać, że miałaś rację. Nawet się nie spodziewałem, jak łatwo będzie przejąć kontrolę nad innymi oddziałami.

Przyjacieli wypija łyk piwa i stawia butelkę na stolik. Ja opieram swoją o podłokietnik.

– „Łatwo” to zbyt lekkie słowo – protestuje z niewielkim uśmiechem. – Nie mówiłem, że będzie łatwo; mówiłem, że to wykonalne.

Odwzajemniam jego uśmiech, bo nieczęsto mam okazję widzieć radość na twarzy tego człowieka-posaгу. Kiedy się poznałiśmy, przez długi czas nie wiedziałem nawet, czy on ma zęby.

– Niech ci będzie. „Łatwo” to rzeczywiście zbyt lekkie określenie – przyznaję, popijając piwo. – Ale musisz przyznać, że przejęcie trzech oddziałów w mniej niż trzy miesiące to raczej imponujący wynik.

Victor przytakuje.

– To zasługa nas wszystkich. Nie poradziłbym sobie bez waszej czwórki.

Podoba mi się, że Victor zawsze chwali tych, którzy na to zasługują, ale prawda jest taka, że jest po prostu skromny. Jestem pewien, że nawet bez nas poradziłby sobie z tym zadaniem bez większego problemu. Tak, na pewno dałby radę beze mnie, bez Doriana Flynna, swojego brata Niklasa Fleischera, a nawet swojej ognistowłosej i porywistej niczym huragan kobiety, Izabel Seyfried, którą przez ostatni rok zdążyłem bardzo polubić. Victor traktuje nas wszystkich z szacunkiem, ale wiem, że gdyby sytuacja tego wymagała, nie zawahałby się nas zabić. Faust to typowy przykład „człowieka o żelaznej pięści”. Nie boję się go, bo nikogo się nie boję, ale go szanuję i zawdzięczam mu swoje życie.

Tak, zawdzięczam mu życie... Ale gdyby dowiedział się o Cassii, to pewnie by mi je odebrał albo przynajmniej pozałował, że uratował mnie kilka miesięcy temu przed Vonnegutem. Vonnegut to nasz były pracodawca i przewodniczący Zakonu, z którego uciekliśmy razem z Victorem i Niklasem.

Skurwiel wyznaczył nagrodę za nasze głowy, więc obecnie musimy działać w ukryciu.

– Na czym stoimy? – pytam. – Chcę posłuchać o numerkach.

– Mamy sześć oddziałów; cztery w Stanach, jeden w Meksyku i jeden w Szwecji. Razem to stu trzydziestu trzech aktywnych członków, nie licząc tych, których mieliśmy już wcześniej.

– Stu trzydziestu trzech? – dopytuję, przechylając w zdziwieniu głowę.

– Tak, Niklas zabił wczoraj jednego, który nie przeszedł ostatniego testu. Wyśpiewał Izabel wszystkie fałszywe informacje, które mu powierzyliśmy.

– Ach, rozumiem. No, a jak Izabel sobie z tym radzi?

– Całkiem nieźle – odpowiada, ale nie rozwija tematu, przez co od razu nabieram podejrzeń.

– Cóż, chyba nie za bardzo mogę o to pytać... ale czy powinienem się martwić?

Victor unosi wzrok i kręci głową.

– Ty? Nie, ty nie musisz się o nic martwić. Natomiast mój brat... No cóż, ciągle się zastanawiam, kiedy ktoś mi doniesie, że Izabel poderżnęła mu gardło.

Usiłuję powstrzymać uśmiech, ale bezskutecznie. Przyciskam butelkę do ust, żeby w ten sposób ukryć rozbawienie.

– No, jakoś mnie to nie dziwi. Zresztą, raczej nie spodziewałeś się, że mnie zaskoczysz, co? – Odstawiam piwo na stół.

– Nie, raczej nie. – Victor również wygląda na rozbawionego. – Wątpię, że ci dwoje kiedykolwiek się dogadają. Niklas nie wie, kiedy zamknąć pysk, ale Izabel... – Potrząsa gwałtownie głową o krótkich, brązowych włosach i przybiera taką minę, jakby właśnie doszedł do wniosku, że z tej sytuacji nie ma wyjścia. – ... Izabel jest tak samo straszna jak on.

– Hmm, wiesz, dopóki ich... „konflikty” nie kolidują z naszą pracą, to chyba lepiej pozwolić im załatwić to między sobą. – Wzruszam ramionami. – Poza tym, wiesz tak samo dobrze jak ja, że Niklas zasługuje, by raz na jakiś czas złożyć mu skórę. Jest prawie... – unoszę wskazujący palec, by podkreślić to słowo – prawie tak okropny jak Dorian.

Victor zmienia pozycję. Kładzie lewą stopę na prawym kolanie i zsuwa przedramiona z podłokietników, po czym opiera łokcie o ich misternie zdobioną, drewnianą powierzchnię i spleta ze sobą palce.

– Skoro mowa o Dorianie, to jak mu poszło we Francji?

Wzdycham głośno i unoszę wzrok w kierunku sufitu.

– Dorian jest tak samo postrzelony jak Niklas. Okej, jasne, wykonuje swoją pracę i nigdy nie popełnia przy tym żadnych błędów, ale czasami... Czasami jego zachowanie szokuje nawet mnie. A sam wiesz, jak trudno mnie zdziwić...



– Szokuje cię? – Victor unosi brew. – Aż trudno mi w to uwierzyć.

– Taka prawda. Dorian jest narwany...

– Taką ma pracę – przerywa mi. – Ma zabijać naszych wrogów i wszystkich, którzy wejdą mu w drogę.

– No tak, ale... – przygryzam w zamyśleniu wnętrze policzka – jest dosyć brutalny. I morduje ludzi bez namysłu.

Kiedy tylko to mówię, Victor wybucha śmiechem. Śmieje się głośno, odrzucając głowę do tyłu, a ja przez dłuższą chwilę jestem tak zaskoczony, że tylko gapię się na niego oniemiały.

Kilkanaście sekund później przyjaciel znów bierze swoje piwo i wskazuje na mnie szyjką butelki, nim w końcu bierze spory łyk.

– Ty... Fredrik, nie wierzę. Nie wierzę, że akurat ty oskarżasz Doriana o brutalność! I to dlatego, że morduje ludzi bez namysłu! – Przystaje się śmiać, ale nadal jest wyjątkowo rozbawiony. – A nie przyszło ci może do głowy, że wcale nie zaskakuje cię jego brutalność, tylko to, że Dorian nie bawi się jedzeniem, zanim je zje? Jest twoim przeciwieństwem, co? A jak myślisz, co on sobie o tobie pomyślał, kiedy po raz pierwszy był świadkiem jednego z twoich przesłuchań?

Wypija jeszcze trochę piwa i odstawia butelkę.

– Okej, jasne... Rozumiem, co masz na myśli – odpowiadam ze słabym uśmiechem.

– No, więc nieźle sobie radzi, tak? – dopytuje jeszcze, odzykując powagę. – Nie było z nim żadnych większych problemów, odkąd został twoim partnerem?

Kręcę głową.

– Nie, nie było. I zdał wszystkie testy... – przyznaję z głośnym, przeciągłym westchnieniem. – Słuchaj, Victor, wcale nie mam ochoty tego mówić... Ale chyba miałeś co do niego rację.

Naprawdę trudno jest mi to przyznać, bo już kiedy po raz pierwszy zobaczyłem Doriana Flynna, miałem ochotę przywiązać go do krzesła i wstrzyknąć mu w żyły kilka litrów trucizny.

Ten dupek za dużo gadał, był zbyt pewny siebie, arogancki i niesamowicie bezczelny. No i cóż... nadal taki jest. Ale niestety – a przynajmniej niestety dla mnie i mojej nieodpartej chęci zamordowania go – jest świetnym pracownikiem.

Mogę więc zadać tylko jedno pytanie.

– Jak długo Dorian ma być moim... partnerem? – Wypluwam to słowo, jakby raniło mój język. – Wolę pracować sam, ewentualnie z tobą... Przy Dorianie mam ochotę wbijać igły pod własne paznokcie.

Victor jeszcze raz się uśmiecha.

– To potrwa jeszcze najwyżej kilka tygodni – obiecuje. – Poczekamy, aż pomoże nam z misją w Waszyngtonie, a potem pozwolę mu działać samemu. Poza tym – kontynuuje – przydzieliłem ci go z tego samego powodu, z którego dobrałem w parę Izabel i Niklasa. Wszyscy musicie się nauczyć współpracować i nie pozabijać się przy tym nawzajem.

– Ach, więc ty dogadujesz się świetnie ze wszystkimi? – pytam sarkastycznie ze złośliwym uśmieszkiem, chociaż nie mam nic złego na myśli. Victor z pewnością wie, że to tylko niewinne zaczepki.

– Tak sądzę – przytakuje.

Nagle zapada pomiędzy nami cisza. Słyszę, jak Greta przygotowuje kolację – stawia garnki na kuchence i odkręca wodę, by umyć warzywa. Zawsze zostawia przy tym odkręcony kran...

– Fredrik – odzywa się Victor. Jego oczy stają się nagle ciemniejsze, zmartwione i pełne niewypowiedzianych pytań. – Doszły mnie słuchy, że znowu zacząłeś szukać Seraphiny. Czy to prawda?

Staram się zachować spokojny wyraz twarzy. Nie mogę dać po sobie poznać, jak mroczne emocje obudziło we mnie to pytanie.

– Tak, to prawda – przyznaję szczerze. – Ale nie pozwolę, żeby przeszkodziło mi to w naszej pracy.

Victor kiwa głową, choć mam wrażenie, że nie do końca w to wierzy.

Dopiero niedawno wyznałem mu, że wcale nie zabiłem swojej byłej żony, Seraphiny. Uznałem, że zasługuje na szczerą prawdę po tym, jak uratował mnie przed pułapką Vonneguta, ale... No cóż, prawda jest taka, że ja po prostu nie potrafiłem zabić Seraphiny. Ta kobieta mnie zdradziła i próbowała mnie zabić, a jednak wciąż było w niej coś, co nie pozwalało mi jej zamordować... Miałem okazję, by odebrać jej życie, ale... nie miałem w sobie tyle siły. Seraphina to pierwsza i ostatnia osoba, która nie złamała się podczas mojego przesłuchania.

To także pierwsza i ostatnia osoba, której przesłuchania nigdy nie dokończyłem.

Seraphina uciekła. Uciekła, bo jej na to pozwoliłem, w konsekwencji czego z jej rąk zginęły trzy niewinne kobiety. Nie widziałem jej, odkąd podpaliła mój dom... Aż do niedawna.

Zdarzyło się to niecały rok temu, kiedy byłem w Nowym Jorku. Oglądałem właśnie wieczorne wiadomości i dostrzegłem ją za plecami reportera, przepychającą się przez niewielki tłum.

Od tamtego dnia nieustannie jej szukam.

Victor stawia obie nogi na podłodze, pochyla się i wsuwa dłoń między kolana.

– Fredrik. – Patrzy mi prosto w oczy i przechyla głowę. – Wiesz, że jeśli tylko zechcesz, zapewnię ci wszystko, czego potrzebujesz, by ją odnaleźć.

– Nie – protestuję bez namysłu. Kręcę gwałtownie głową i również się pochylam. – To moja prywatna sprawa, Victorze. Doceniam twoją propozycję, ale muszę zrobić to sam. Rozumiesz mnie, prawda?

Potakuje, po czym wstaje z fotela i wygładza materiał marynarki. Wstaje zaraz za nim, a następnie idziemy razem w kierunku frontowych drzwi.

– Informuj mnie na bieżąco, jak wygląda sprawa z Dorianem  
– prosi. – Prześlę ci informacje o Waszyngtonie, kiedy tylko sam  
je dostanę.

– Jasne.

Victor żegna się ze mną i wychodzi, by wrócić do swojego  
domu w Filadelfii.

Kiedy tylko odjeżdża z podjazdu, od razu biegnę do kuchni.  
Muszę dowiedzieć się, co z Cassią.



## ROZDZIAŁ TRZECI

*Fredrik*

Kiedy wchodzę do kuchni, Greta od razu posyła mi zniecierpliwione spojrzenie, czekając, aż pozwolę jej mówić.

– O co chodzi? – pytam, stając w drzwiach.

– Cassia jest bardzo niespokojna, panie Gustavsson – oświadcza, wycierając ręce małym ręcznikiem, który następnie odkłada na czarny, granitowy blat szafki kuchennej. – Minęły już trzy dni. Proszę wybaczyć, że to mówię, ale byłoby lepiej, gdyby zobaczył się pan z nią od razu po powrocie, a nie dopiero wieczorem.

– Wiem, ale miałem swoje powody.

Powody, których nie muszę wyjaśniać Grecie. To tylko pokojówka i opiekunka Cassii na czas mojej nieobecności, a nie moja matka!

Przesuwam powoli bosymi stopami po chłodnej, wyłożonej płytkami podłodze, tak samo czarnej i błyszczącej jak kuchenne blaty. Kiedy podchodzę bliżej szafek, opuszczam swobodnie ręce i splatam ze sobą palce. Greta nerwowo przełyka ślinę. Odwraca wzrok, wbijając swoje stare, niebieskie oczy w podłogę.

Przechylam głowę z poważnym wyrazem twarzy.

– Ty nadal się mnie boisz... Nawet po tylu miesiącach spędzonych w moim domu? Dlaczego? Przecież nigdy cię nie skrzywdziłem.

Greta niechętnie unosi podbródek. Rozgląda się po kuchni, unikając mojego spojrzenia.

– Ja... Ja przepraszam, ale jest pan moim pierwszym pracodawcą, który... – Wykręca nerwowo palce. – No, który robi takie rzeczy. Nie jestem do tego przyzwyczajona. I pewnie nigdy nie będę...

Greta i Dorian zostali naszymi nowymi „pracownikami”, kiedy blisko rok temu Victor przejął jeden z Zakonów działających w Stanach Zjednoczonych. Zabiliśmy ich poprzednie szefostwo i zdobyliśmy nazwiska wszystkich członków tamtej organizacji, co pozwoliło nam przejąć kontrolę nad ich interesami. Tak samo postąpimy niedługo z tą francuską organizacją, którą na razie dowodzi Sébastien Fournier. W pewnym sensie takie działanie wcale nie różni się od sytuacji, w której jedna duża firma kupuje drugą, a nowy zarząd wprowadza pewne drastyczne zmiany i sprawdza przeszłość dotychczasowych pracowników oraz czy zdołają oni działać zgodnie z nową polityką koncernu. Większość ludzi tak naprawdę ma gdzieś, kto jest ich szefem; zależy im tylko na tym, by dostać wypłatę. Niestety, to wcale nie ułatwia nam rozróżnienia lojalnych pracowników od tych, którzy mogą sprzedać poufne informacje każdemu, kto odpowiednio zapłaci. Na szczęście Victor wie, co robi, a ja pomagam mu sprawdzać, kto jest godny zaufania. Wszystkie oddziały, które dotychczas przejęliśmy, liczyły co najmniej dziewięćdziesięcioro członków. Każdy z nich – mężczyzna, kobieta, zabójca, szpieg czy właściciel Kryjówki – usiadł na moim fotelu przesłuchań, by udowodnić swoją lojalność. No, właściwie to nie każdy. Najpierw ci ludzie muszą przejść przez próby Victora i Niklasa, a dopiero później trafiają w moje ręce. Większość odpada już we wcześniejszym etapie, a mi trafiają się tylko ci nieszczęśliwcy, którzy zdali pozostałe testy.

Niektóre z moich... ofiar, jak nazywa je Izabel Seyfried, powiedziałyby pewnie, że nawet Vonnegut stosuje bardziej huma-

nitarnie sposoby radzenia sobie z niełojalnymi pracownikami. On po prostu ich zabija, kiedy tylko zaczyna nabierać podejrzeń. Ja natomiast wolę stare, dobre tortury. W tym biznesie nie ma miejsca na humanitarne przesłuchania. I nawet gdyby ktoś chciał to zmienić, to... no cóż, jestem tradycjonalistą.

Greta nigdy nie usiadła na moim fotelu przesłuchań, ufałem jej od samego początku. Czasami wystarczy spędzić trochę czasu w czyimś towarzystwie, żeby stwierdzić, czy ta osoba jest lojalna, czy nie. Greta miała tysiące okazji, by zawiadomić policję o kobiecie, którą przetrzymuję w piwnicy. Mogła też powiedzieć o niej Victorowi albo nawet Dorianowi, a mimo to nie pisnęła ani słówka. Greta to twarda babka, choć przy mnie robi się nieco strachliwa. Nie mogę jej jednak za to winić. Czas pokaże, czy jej lojalność wynika wyłącznie ze strachu... Póki co czuję, że mogę jej ufać.

– Jeśli chcesz, by przydzielono ci jakieś inne zadanie, mogę to załatwić – oznajmiam, rozprostowując palce i opuszczając ręce wzdłuż ciała. – Ale nie możesz powiedzieć nikomu o Cassii. Kiedy przyjdzie odpowiedni czas, sam powiem o niej Victorowi. To, że ją tutaj przetrzymuję, nie jest żadną zdradą, to... No, można powiedzieć, że to mój wybór i jeśli będzie trzeba, poniosę jego konsekwencje.

Greta potrząsa delikatnie głową.

– Nie. – Patrzy mi w oczy, mocno zaciskając dłonie. – Nie, ja chcę zostać i dalej opiekować się Cassią... Polubiłam ją, naprawdę. Nie mogę pozwolić, żeby zostawała tutaj sama, kiedy pana nie ma. Musi mieć dobrą opiekunkę.

– Dziękuję – mówię, bo naprawdę jestem jej wdzięczny.

Miałem nadzieję, że podejmie taką decyzję, bo wcale nie mam ochoty szukać za nią zastępstwa... Ani tym bardziej jej zabijać. A przecież musiałbym to zrobić, gdyby przyjęła moją ofertę. Jest jedyną osobą, która wie o Cassii. Nie mogę wypuścić tego ptaszka z klatki.

Greta wzdycha, kładąc dłonie na kuchennym blacie. Znowu jest niespokojna.

– Muszę to panu powiedzieć...

W duchu przygotowuję się już na to, co zaraz usłyszę.

– Ja... ja naprawdę uważam, że Cassia nie ma pojęcia, gdzie jest ta... ta Seraphina. Proszę mi wierzyć, panie Gustavsson, potrafię wyczuć takie rzeczy. Mam świetne oko do ludzi, a kiedy patrzę na tę dziewczynę, widzę, że jest całkowicie szczerą.

Przechadzam się wzdłuż ściany, splatając dłonie za plecami.

– Być może masz rację – przyznaję, spoglądając na ogród przez wielkie, sięgające od podłogi do sufitu okno. – Myślę jednak, że za jakiś czas to może się zmienić.

– Ale jak to? Nie rozumiem – oświadcza Greta z nutą matczynej troski. – Jak ona może powiedzieć, gdzie jest ta kobieta, jeśli nawet jej nie zna...? Skoro teraz tego nie wie, to jakim cudem miałyby wiedzieć to później? A poza tym... no... oczywiście nie chciałabym, żeby pan ją przesłuchiwał i robił jej te okrutne rzeczy, które robi pan innym, ale... no, skoro uważa pan, że Cassia coś ukrywa, to dlaczego pan tego nie robi?

Patrzę Grecie prosto w oczy, upominając ją samym spojrzeniem.

W kuchni zapada cisza.

Kobieta mruga nerwowo, a następnie wbija wzrok w blat szafki, pocierając opuszkami palców ich kostki. Dobrze wie, że nie powinna kwestionować moich metod. Rozumiem, że jej pytania wynikają z dobroci serca, ale to, dlaczego nie torturuję Cassii, to moja prywatna sprawa.

– Możesz skończyć na dzisiaj, jeśli chcesz. Będę w mieście jeszcze przez kilka dni.

– Dobrze, dziękuję... ale co z kolacją? – Spogląda na świeże warzywa leżące w sitku, w zlewie oraz postawione na kuchence garnki. W jednym z nich woda gotuje się już od dobrych kilku minut.



– Zostaw to. Posprzątasz jutro.

Greta spuszcza głowę i gasi palniki kuchenki, po czym szybko wyjmuje sitko ze zlewu i wsadza je do wielkiej lodówki.

Zarzuca na ramię swoją żółtą torebkę, którą wcześniej zostawiła na krześle przy oknie, po czym podchodzi, by oddać mi srebrny klucz.

– Czy mam jutro przyjść o tej samej porze, co zwykle?

– Tak, tak będzie dobrze – odpowiadam, mocno zaciskając dłoń na kluczu.

Greta znika za rogiem, a chwilę później zamyka za sobą frontowe drzwi.

Odwracam się na pięcie, by spojrzeć w głąb korytarza, na którego końcu znajdują się drzwi do piwnicy. Oczami wyobraźni widzę już twarz Cassii, śliczną i delikatną niczym twarz porcelanowej lalki, z wielkimi, jasnobrązowymi oczami sarenki oraz idealnymi, pełnymi ustami. Na samą tę myśl moje czarne, zdradzieckie serce zaczyna wybijać powolny, przeraźliwy rytm. Robi to zawsze, kiedy o niej myślę. Zdradza mnie w tak okrutny sposób, że mam ochotę wyrwać je z piersi i na zawsze się od niego uwolnić.

Chwilę później stoję przed tymi drzwiami i otwieram je kluczykiem, który oddała mi Greta. Nie myśląc o niczym więcej, schodzę po schodach. Prosto do niej. Prosto do Cassii.

Jeśli pozwolę jej żyć, to w końcu przez nią zginę.